Rok I. Kraków 15 stycznia 1927 r. Nr. 1—2.

NASZA CZYTELNIA

PRENUMERATA ROCZNA ZŁ. 2 50. — DO AMERYKI NA ROK 50 CENT.
WYCHODZI DNIA 1-GO I 15-GO W MIESIĄCU.
ADRES WYDAWNICTWA: KRAKÓW, KREMEROWSKA 10.

Noworoczne podziękowanie i prośba.

Dzięki Ci Boże
za te wszystkie dary,
Które z Twej łaski
rok nam przyniósł stary.
I za te krzyże,
cośmy je dźwigali,
Biedni i mali.

A z Nowym Rokiem
strzeż nas od zarazy,
Od głodu, wojny,
i od wszelkiej skazy.
Zmiłuj się, wspieraj
nasze słabe siły,
Boże nasz miły!

Błogosław nasze prace
i przemysły,
By dla tej ziemi
lepsze czasy błysły.
Błogosław miasta, wsie,
i wszystkie włości,
Boże litości!

Anioła zgody ześlej
na tę ziemię,
Połącz miłością
całe polskie plemię!
Błogosław wszystkie
rodziny i stany,
Panie nad pany!

W ostatnią noc grudniową.

Ostatnia noc grudniowa rozpostarła cienie swoje nad ziemią zasłaną śniegiem, niby białym obrusem.

Drogą szedł starzec siwobrody. Przystawał często, odwracał głowę i patrzał na domy, miasta, co świeciły zdala szeregiem okien, na wieże kościołów wznoszące w górę głowy ku niebu, wzdychał i rękę podnosił do oczu, jakby łzy ocierał.

Biedny starzec, chciałby widocznie pozostać tam wśród tych ludzi, których opuszcza, ale snać jakaś wyższa siła każe mu dążyć w tę noc grudniową w świat daleki.

Idzie więc powoli, aż wreszcie zatrzymał się przy krzyżu na rozstajnych drogach. Przed nim drogowskaz wyciąga

dwa ramiona. »Przeszłość» — taki napis po lewej, — »Przyszłość« — po prawej stronie.

Starzec obejrzał się po raz ostatni poza siebie a odwróciwszy się znowu, ujrzał jakąś postać, zbliżającą się ku niemu.

— Witam was, staruszku! — — odezwał się głos świeży, młodzieńczy. — Dokąd to o tej późnej godzinie? Toć północ uderzy za chwilę.

— Z miasta — odpowiedział starzec — skąd północ mię wygania. Dokąd idę? — w przeszłość!

A mnie przyszłość prowadzi do ludzi! — zawołał młodzieniec wesoło.

— Więc ty jesteś?....

— Nowy Rok! takie moje imię.

— Mój następca, — szepnął starzec. Witam cię i żegnam zarazem, — dodał zwracając się do młodzieńca. Stary Rok musi wejść na drogę przeszłości, skoro Nowy Rok się zjawia. Tam oczekują twego przybycia — wskazał ku miastu — spodziewają się, że nie zawiedziesz pokładanych w tobie nadziei, że spełnisz każde życzenie i niesiesz szczęście, którem obdarzysz wszystkich.

Wiem o tem! — roześmiał się Nowy Rok. Ludzie zawsze liczą na szczęście z rąk losu — a zapominają, że ono najczęściej zależy od nich samych. Ja im to ciągle przypominać będę, a jeżeli mię nie posłuchają, sami sobie winę przypisać będą musieli, że szczęścia nie osiągnęli.

— Masz słuszność młodzieńcze — rzekł starzec. I ja, o ile to było w mojej mocy, to samo im powtarzałem i do pracy zachęcałem — a ty daj im wytrwałość i zamiłowanie do pracy. Utrwal zgodę między starszymi i złącz silnie serca wszystkich — by z każdym dniem stawali się lepszymi; niech dzieci jednego narodu żyją, jak bracia, a dola zaświta im lepsza..... Żegnaj!

— Nie zapomnę o dobrych twych radach, starcze, i spełnię je z pewnością! — zabrzmiał już w oddali głos młodzieńca spieszącego ku ludziom...

Czarny człowiek.

I.

W przepysznym pałacu mieszkał zamożny pan z młodą i piękną żoną swoją i mnóstwem dworzan i sług swoich. Nazywał się Lucjan, a żonie jego na imię było Marja. Miał pałac, jakiego pozazdrościłby mu niezawodnie najbogatszy władca rzymski; złota w nim szczerego było pełno, a purpura obić i kotar zalewały niby morzem krwi pozłoconej wszystkie ogromne komnaty jego, i włości miał wiele i dochodów z nich tysiące.

Natura dała mu wzrost piękny, twarz wyrazistą męską, krucze włosy i w pierścienie wijące się nad białem czołem. Oko jasne, podobne do lazuru niebios; a ogień w niem połyskał niby gwiazda zaranna, migocąca się i świetna zawsze przed wszystkiemi.

Był z rodu wielkich imion, o których piszą w pergaminowych księgach. Siedział w pałacu swoim, niby udzielny władca swego kraiku i w ręku swem dzierżył prawo życia i śmierci swych poddanych.

Ale szczęśliwy nie był bogaty i piękny Lucjan. Piękniejsza stokroć od niego i od wszyskich dziewic w świecie Marja, od dnia zaślubin, smutną była i tęskną i nie uśmiechnęła się ani razu Lucjan nie mógł odgadnąć przyczyny tej tęsknoty, ale rozpacz go brała, gdy patrząc na jej czarne oczy mgłą niepokoju niby welonem wstydu zakryte, widział ją codzień piękniejszą, codzień czarującą bardziej. Biedny był, ale nie mógł mu nikt w jego zmartwieniu poradzić.

Poślubił on młodą Marję, kiedy za-

ledwie siedemnasta wiosna rumieńcem młodzieńczych czarów krasiła jej nieco śniade oblicze, i kiedy serce jej niby pączek róży, której słowik śpiewem swoim nie zarumienił, pełen woni i uroku ale nie rozwinięty jeszcze, milczało spokojnie i cicho uderzało tylko szeptem pacierza, uczuciem posłuszeństwa córki i podziwem prześlicznych krajobrazów natury.

Gdy dzwonek w kaplicy zawołał do modlitwy, jej serce wtedy zadrżało wiarą w Boga; gdy słońce zachodzące za góry rumieniec żalu po sobie zostawiało na cudnem sklepieniu nieba opartem o szczyty skał i lasów, Marji serce uderzało do tego obrazu i zachwycało się pięknością natury.

Gdy rodzice kazali jej przyjąć za męża Lucjana, ze zwieszoną główką, ale bez silnego wrażenia, uczyniła zadość ich woli i serce jej wtedy ścisnęło listki uczuć swoich jeszcze bardziej, skąpiąc wdzięku i woni za wczas sięgającym po nie rękom.

Lucjan, mąż silnego ducha i woli, ufny w swoje bogactwa i dobrą wolę i chęci, nie przestraszał się wcale obojętnością swej oblubienicy. Powiódł ją do ołtarza, pewny, że jej dotrzyma przysięgi, a łzy jej rzewne poczytywał za zwyczaj panien idących do ślubu. I był szczęśliwy, posiadając Marję, nad którą piękniejszej nie było w całej okolicy.

I odbył się akt weselny huczny i wspaniały; Lucjan nie szczędził złota, płynęło strumieniem wino, przyjaciół nie brakło, jak zawsze; przyjaciółek tylko Marja nie miała przy sobie, bo ona była samą i nie wiedziała, co się z nią dzieje, jakie ją jutro czeka, choć słyszała, że takie, jak to jutro, mają być wszystkie dni życia — aż do grobu...

Nie płakała, ale od cudnego jej oblicza odbijał welon ślubny niby śmiertelna koszula, i wieniec na czole jej cudownem, więdniał od ognia, co palił jej mózg nieświadomością i trwogą.

A po ślubie Lucjan powiódł bladą i struchlałą żonę, do swego pałacu, gdzie odtąd przemieszkiwała niby niewolnica jaka, którą właściciel upodobawszy w niej sobie, wszystkiemi obsypywał wygodami. Czego myśl zapragnąć zdołała, co najbujniejsza fantazja wyobrazić jest w stanie, wszystko tam było przed nią, dokoła niej, u jej stóp.

A Marja ciągle tęskną była i smutną i nie cieszyło ją nic, nie zabawiało nic i nie gniewało nic także. Lucjan pytał się o przyczynę jej smutku, nie umiała mu odpowiedzieć, bo sama jej nie znała.

Jej się zdawało, że spełniając wolę rodziców, osiąga szczęście na ziemi i że innego szczęścia niema dla ludzi; więc nie pragnąc niczego więcej, była jako ten, który mając przed sobą otwarte podwoje uciech i rozkoszy, zatrzymał się na progu i nie wchodząc dalej, mówił: tutaj mi dobrze.

Ale Lucjan nie mógł odgadnąć tego, co w sercu Marji było goryczą i boleścią, o których ona sama nie wiedziała. Nie mógł odgadnąć, bo nigdy nie kochał on tak, jak młodzi kochają ludzie, choć nie był złym, ale zimnym. On Marję czcił; chciał ją ozłocić, lecz złotem. On jej tęsknotę widział na jej czole, ale chciał ją ukoić przepychem. Nie pomogło złoto, ani przepych. Marja ciągle była tęskna i smutna, ani łza, ani uśmiech nie okrasiły jej pięknego oblicza.

II.

Szczyt lesistej skały wspiął się pod samo sklepienie niebios. U stóp jego pałace i chaty, lasy i sady, strumienie i bystre kaskady.

Z pałacu Lucjana, z okna salonu Marji, widać taki krajobraz zdala. Marja lubi się w niego wpatrywać i niejedna minęła godzina, w której jej czarne oczy ścigały po cudach tego obrazu i długo siedziała, rączką maleńką wsparłszy swoją twarzyczkę, a oczka jaśniejące ku niebu na gwiazdy podnosząc.

I była podobną do obrazu w jakim Carlo Dolce wypowiedział swą miłość najwyższą. Gwiazdki to widzieć musiały, bo się z nich kilkanaście zbierało wprost nad jej skronią, niby wieńcząc ją aureolą, tak jak na obrazie Carlo-Dolce.

I piękną była Marja wpatrująca się w cudny krajobraz natury, ale smutną była i tęskną jak zawsze. Lucjan widywał ją często w tej uroczej postawie i cieszył się, że ma tak piękną żonę, lubo go bolał jej smutek.

Trwało to długo i bardzo długo dla Marji, chociaż dla innych ludzi upłynęło dopiero pół roku czasu. Rodzice Marji odwiedzali ją, ale ona nie zapłakała przed niemi i gdy się pytała matka, czy jest szczęśliwa? — mówiła: Zdaje mi się, że mi niczego nie potrzeba.

Pewnego jednak razu, gdy Marja taka śliczna i zadumana w oknie swej komnaty siedziała i wpatrując się w ulubiony obraz lesisto górskiej okolicy, poiła się jego czarownym widokiem, osrebrzonym pocałunkiem księżyca, zdawało się jej, jakoby na szczyt skały najwyższej, jakiś człowiek wspinał się mozolnie.

Obraz cały nie był tak bardzo daleko, aby na nim dojrzeć nie było można człowieka; Marja miała nadto wzrok dobry i daleko widziała przedmioty.

Wzięła jednakże szkła do ręki i przez nie utwierdziła się w swem przypuszczeniu; na szczycie skały ulubionej siedział już wtedy człowiek jakiś czarno ubrany, miał twarz bladą i długie czarne włosy; w ręku książkę, do której czytania się zabierał. Wyrazu jednak twarzy ani bliższych szczegółów rozpoznać nie było można.

Marja wpatrywała się bacznie w tego człowieka, który po raz pierwszy ośmielił się zburzyć jej obraz, chociaż jego osoba, jego to niby zakłócenie spokojnego obrazu natury, nie psuły wcale uroku, jaki przejmował serce Marji.

— Co on tam robi? — myślała sobie, patrząc się ciągle w niego. — Czyta; chciałabym wiedzieć co czyta, dlaczego czyta na tej skale? Wszak już ciemno? On przecież widzieć nie może! Musi to być jakiś dziwak lub nieszczęśliwy, obłąkaniec może. — I litowała się nad nim.

I długo, długo w oknie siedziała Marja, aż człowiek czarny zszedł ze szczytu skały i zniknął w gęstych alejach lasu.

Na drugi wieczór i na trzeci wieczór, było to samo. Marja siedziała w oknie i patrzyła się w swój ulubiony obraz; na szczycie skały czarny człowiek czytał książkę do późnej nocy.

I kiedy się tak co dzień powtarzało to samo. Marja zaczęła dłużej, aniżeli w czasie przypatrywania się swemu obrazowi, myśleć o czarnym człowieku, nieraz we śnie widziała go z bliska jak milczący i blady (a był piękny, zajmujący i młody), przechodził koło jej okna; często w dzień upatrywała go na skale, ale go nigdy tam nie było.

Lucjanowi nic o tem nie powiedziała, może być, iż nie uznawała tej rzeczy za coś ważnego.

Ze snów i marzeń sklejają się obrazy w duszy naszej, a jeśli je pamięć narysuje silniej i często przywołuje w wspomnieniu, nabierają życia trwalszego, bo się zakradają w serce, zdobywając tam dla siebie większy szacunek, niż urok, droższe przywiązanie, niż zachwyt, bo uczucie, które u dziewic i kobiet jest miłością, u poetów zowie się natchnieniem

Czarny człowiek na skalistem urwisku z książką w ręku przechodził tę wędrówkę wrażeń w duszy Marji. Naprzód śniło jej się o nim często, we śnie ukazał się jej.

Na jawie marzyła o nim, strojąc postać senną w jeszcze cudniejszy koloryt własnej wyobraźni. Wieczór widziała go w rzeczywistości. Nigdy nie opuściła swego posiedzenia; Marja nigdy na nie się nie spóźniła. Z duszy wkradł się do serca, i stało się, że nie wiedząc, co się z nią dzieje, pokochała czarnego człowieka.

Kto on jest? nie pytała się, bo kogóż się o to pytać miała? Bała się, aby wykryciem jego osoby nie zaszkodziła nieszczęśliwemu. Po co tam chodzi? Czy o niej wie?

To były zagadki, któreby rozwiązać pragnęła. Lecz jak? Nie mogła odgadnąć. Dręczyła ją ta niepewność, trapiła się ciekawością i przypuszczeniami. ale te udręczenia i strapienia stokroć były dla niej znośniejsze od dawnych tęsknot i smutków.

Owszem, tęsknota i smutek ustępowały powoli z jej czoła, a natomiast wchodziła tam inna chmurka niepokoju, pochodząca z tego uczucia, o którem już chyba trzeba powiedzieć stanowczo, że tylko cierpieniem dojrzewa i żyje.

Lucjan długo bardzo nieprzenikliwy i nie mogący się domyśleć istotnej przyczyny smutku Marji, teraz nagle widząc ją tak zmienioną, zaczął się sam niepokoić. Smutniał, milczał, oddalał się od ludzi i unikał wyraźnie wesołego towarzystwa, którego niegdyś tak pragnął dla przyjemności swojej i rozerwania Marji.

Marja nie dostrzegła w nim tej zmiany, bo zanadto zajęta była czarnym człowiekiem. On był teraz przedmiotem jej myśli, marzeń, snów i życia nawet. Teraz dopiero pojmować zaczynała szczęście na ziemi, które sobie wyobrażała w przywiązaniu się serdecznem do pewnej osoby, nagradzającej to przywiązanie wzajemnością. Ale jak się o tej wzajemności dowiedzieć? Jak się dowiedzieć najprzód, czy czarny człowiek myśli o Marji?

III.

Cudna była wtedy jesień, gdy Marja o zwyczajnej godzinie z okna swojej komnaty wpatrywała się z rozkoszą w ulubiony swój obraz. Miły chłód jesienny nie ziębił gorąca jej oddechu ale tylko śmiałym powiewem swoim koloryzował wyraziściej piękne rysy jej twarzy, usrebrzone światłem księżyca.

Czarny człowiek siedział jak zawsze na szczycie skały, wsparty na ramieniu i czarnym płaszczem owinięty; książka porzucona leżała przy nim na ziemi.

Marja tego wieczora była trochę niespokojną; czy chłód jesieni, czy zbytnie zajęcie się zagadką trudną do rozwiązania, nabawiło ją dreszczu i gorączki, lecz pomimo to, bardzo długo siedziała przy swojem oknie i nie odeszła od niego, dopóki czarny człowiek nie zniknął w gęstwinie lasu!

Lecz jakież było jej zadziwienie, gdy po chwili usłyszała szmer koło okna i zaraz potem ukazał się przed nią czarny człowiek z długiemi czarnemi lokami włosów, płaszczem czarnym owinięty, z książką w ręku.

Krzyknęła, ale czuła, że głos jej w ustach zamierał...

Dokończenie w następnym numerze.

Z „Pamiętnika“ księdza Michny.

(Przedruk wzbroniony).

Ksiądz Wojciech Michna, który przed 30 przeszło laty zmarł jako proboszcz parafji Chłopice, koło Jarosławia, w Małopolsce środkowej, przeżył znaczną część 19-go wieku w stosunkach polityczno-społecznych, o jakich wielu z dziś żyjących ludzi, nie ma już wyobrażenia.

Był to jeden z nielicznych naówczas kapłanów, który dbał nie tylko o swoje własne wykształcenie i oświatę ludu, ale w wolnych od pracy duszpasterskiej chwilach, szperał po bibljotekach parafjalnych, czytał historyczne księgi, badał tradycje ludowe i wyniki swych badań i osobistych wrażeń spisywał w „Pamiętniku,« w którym oprócz historyczno-etnograficznych opisów miejscowości i okolic, gdzie jako kapłan pracował, podaje sporo ciekawych wiadomości o czasach i ludziach owej doby, która już coraz więcej od nas się oddala.

»Pamiętnik« ten posiadamy jako manuskrypt, nie był on dotąd nigdzie drukowany, a chociaż pisany był więcej może dla własnej przyjemności, niż dla szerszej publiczności, mimo to uważamy za rzecz pożyteczną, podać z niego główniejsze ustępy, zachowując styl autora, a tylko pisownię gdzieniegdzie zmieniamy.

———

Opisując »Kotlinę krośnieńską« i parafję w Krościenku, oraz tamtejszy kościół, tak zaczyna ksiądz Michna swój »Pamiętnik«.

»Krościenko, w którem się urodziłem,

ma przydomek »Górne«, czyli »Wyżne«, to jest wyżej ku źródłom Wisłoka umieszczone.

Lud sioła dowodzi już swemi nazwiskami, że kiedyś były tu rodziny germańskie (niemieckie). Dziś jeszcze są tu rodziny Pelczarow, Frydrychów, Najbarów, Glazarów, Hasnaków, Lorenców i t. p. — co dowodzi, że te nazwy są spolszczone z niemieckich: Pelzhaar, Friedrich, Naibauer, Hausner, Laurenz itd.

Są też i rodziny: Podkule, co przypomina litewskich Patkulów. Są jednak i rodziny czysto polskie: Leszków, Filarów, Gemzów, Burków i t. d. — co znowu dowodzi, że ludność w Krościenku byla mięszana. Na pierwociu była przeważnie germańska i mówiła językiem swoim, jak to wszędzie robią osadnicy niemieccy.

Akta z 16-go wieku, z czasów ostatnich Jagiellonów, dowodzą, że ludność w Krościenku mówiła w połowie po niemiecku, dopiero w 17-tym wieku nastąpiło zupełne spolszczenie, i dziś zaginęła już nawet tradycja, że tu byli kiedyś Niemcy,

Rodzina M i c h n ó w, z której ja pochodzę, osiadła w Krościenku — jak metryki dowodzą, najpóźniej. Przybyła ona z Małopolski, lub z Litwy.

Nie jest to rodzina niemiecka, ale słowiańska, dość szeroko dziś jeszcze rozgałęziona na Morawach, w Czechach i na Pomorzu; niektóre gałęzie tej rodziny mają nawet tytuły hrabiowskie.

Na Litwie byli Michnowie masztalerzami przy książętach litewskich. Zdaje się, że właściwie brzmiała nazwa litewska: »M i c h n o« — nie Michna, ta druga nazwa jest już spolszczona.

Nazwy dość rozpowszechnione: Michniewicz, Michnowski, Michniewski i t. d. — są już przerobione z pierwotnej nazwy Michna, lub Michno. Jedni poprzekręcali dawną nazwę z głupoty, drudzy z próżności.

Dzisiejszy kościółek w Krościenku jest trzecim z rzędu od czasów, jak powstała tu parafja.

Fundował go Zygmunt III. w roku 1630. Zbudowany jest z modrzewia — z drzewa, którego przez 250 lat robak nie dotknął. Grube na łokieć tramy w ścianach, świadczą, jakie to niegdyś lasy modrzewiowe były w okolicy Krosna.

Dziś kościółek zabezpieczny jest przed wylewami Wisłoka, ścianą brzegową zbudowaną z ciosów, staraniem proboszcza ks. Ujejskiego, zmarłego 1867 roku.

W tym kościółku chrzcił mię 12 marca 1820 roku, ksiądz Ludwik Radzikowski pleban krościeński. Ojcem moim był Franciszek Michno, matka Rozalja z domu Lorencówna. W ciele więc mojem zmieszana jest krew polska z niemiecką — z tego przeto powodu, tłumaczyłem sobie objaw mojej krewkości, rzeźkości i rzutkości w całem mojem życiu.

Taka jest i dusza moja, rzutna na wszystkie strony, śmiała w tworzeniu i polocie myśli, niespokojna, sposobna do poglądu głębszego na wszysko w świecie, nurtująca, krytykująca i badająca wszystko, co tylko w spichlerzu myśl t. j. pamięci zaległo lub nowo zalega, jednakowoż więcej rozlubowana na polu nauki i w świecie ducha, niż w realiźmie i empiryźmie.

Do Chrztu świętego trzymał mię Leszek Błażej i Katarzyna Frydrych, znowu mięszanina, bo potomek czystopolski z wnuczką niemiecką.

Mój ojciec nie był bogaty; dziadek nasz Michał Michno zostawił nam morgę pola na moczarach i chałupę starą. Cały ten obszar dziadowskiego majątku razem z pałacem leży koło Nawsia, na błotach

Michał Michno dostał to jako wiano za żoną. Miał syna starszego, który gdzieś w świecie przepadł, i dwóch młodszych synów tj. Franciszka i Karola, którzy się tem dziadowskim spadkiem dzielić mieli. Karol poszedł do wojska, a ojciec mój nie mogąc z tego majątku wyżyć, sprzedał grunt Glazarom, dopożyczył sobie pieniędzy i kupił ojcowiznę nową i wystawił chałupę w roku 1824, którą i ja już pamiętam, bo miałem wtedy lat cztery.

Ojciec był człowiekiem przedsiębiorczym, więc pożyczkę wnet oddał. Było nas dzieci kilkoro; ja, pono z chłopców najmłodszy, byłem ulubieńcem matki i ojca, który ciągle marzył o szkole dla mnie.

Posyłał mię więc do organisty Walentego Jarackiego, bo szkoły we wsi wtedy nie było. Organista wyuczył mię najpierw ministrantury, czytania i pisania. Odtąd ojciec pożyczał, nie wiem, czy od księdza proboszcza, czy od organisty, różne książki, głównie »Żywoty Świętych«, a ja czytałem mu głośno w czasie wolnym od pracy, o czem ojciec sam mi potem opowiadał. Ale czy to rozumiał? — nie, wiem.

Z jednej książki: »Reflexie«, pamiętam opis piekła, Sądnego dnia, Antychrysta i t. d., bo to mi się głęboko wyryło w pamięci, więcej nic nie pamiętam.

Czytałem też »Głos synogarlicy«. Potem ojciec kupił mi książkę z modlitwami »Wybór«, i zaprowadził mię za rękę do kościoła. Ja nie wiedząc, kiedy się Msza zaczyna, odczytałem prawie całą książkę, a ojciec z radości płakał, patrząc na mnie. Z kościoła przyniósł mię do domu na plecach, a matka zapłaciła mi to słodką kaszą.

Gdym po raz pierwszy do Mszy świętej służył, to ojciec z radości kupił cienkiego płótna 3 łokcie na świąteczną koszulę, a matka nawiązała mi pod szyję kawałek czerwonej wstęgi, szarą krajką opasała, całując mię przytem w głowę i głaskając od głowy po plecach moich swoją ciężką i od pracy czarną ręką.

Przy Mszy św. trzeba było klęczeć jak wryty; raz obejrzałem się i za to otrzymałem w domu 3 rzemyki twarde. Raz opowiadałem w domu, że ksiądz się zataczał przy Mszy, za to dostałem jakie 50 rzemyków, nauka to dobra, aby z pozoru nie sądzić i nie potępiać.

Raz kupił mi ojciec czarny ołówek i dał deskę wierzbową do pisania. Siadłem sobie w kłębek na desce i wypisywałem: »Najświętsza Panno formuj moją rękę, bym mógł opisać Syna Twego mękę«, i roześmiałem się. Za to dał mi ojciec najmniej sto razy rzemykiem — i ledwo mię matka uratowała od dalszych razów. Cały tydzień ojciec na mnie nie patrzył i do jedzenia przy stole nie dopuścił.

To mię zrobiło pobożnym; odtąd śpiewałem Godzinki co niedziela w domu; ojciec się udobruchał i zaprowadził mię do szkoły u ogrodnika Stęczyńskiego, gdzie nas kilku uczył.

Była to szkoła, jakiej dziś ani śladu. Ucząc się przez jedno lato 1828 roku, umiałem całego »Komeniusza« i Katechizm wielki, co do słowa, na pamięć; czytałem płynnie po polsku i po niemiecku każdą książkę, pisałem także.

Ztąd zawiózł mnie ojciec do Krosna i dostałem się do drugiej klasy.

Szkoła u ogrodnika była po prostu »bójką«; codzień bito nas na zydlu patykiem; ja uszedłem szczęśliwie tej kary bo miałem pamięć dobrą i zawsze umiałem lekcję bez myłki.

Pomnę, jak się raz umawiali na mnie wszyscy, a ja w strachu łykałem każde słowo, a przy zdawaniu stałem tak przytomny i odważny, że anim się zająknął. To gniewało nauczyciela i drugich uczniów, żem nie leżał na zydlu

Oto jeden z tysiąca obrazków dawnej szkoły! Dybać na bicie ucznia biednego, to skaza wielka na nauczycielu! Jakiś Surmiński z Iskrzyni przychodził do tej szkoły i przynosił codzień ukłony miłosne p. nauczycielowi od panny szafarki ze dworu i za to miał wielkie łaski i nigdy na zydlu nie leżał, choć zasłużył.

To drugi obrazek z życia nauczyciela, o którego miłostkach wiedzieli jego uczniowie i byli w nich pośrednikami. Sami wiedzieli o niesprawiedliwości nauczyciela, listy miłosne odnosili i przynosili.

Pomnę raz, będąc w domu, zaszedłem na cudzy ogród, sąsiada Marszałka natargałem kapelusz marchwi i zacząłem uciekać, gdy zobaczyłem córkę tego Marszałka.

Stało się; ojciec mój o tem się dowiedział, a matka sama chodziła za mną

i dopiero w nocy przyprowadziła mię do domu. Ojciec obił mię strasznie, lecz odtąd nie robiłem nikomu szkody, nawet jabłka nie wziąłem cudzego.

Groźbą, karą i przykładem budował mię ojciec, matka zaś nauką żałosną i słowami płaczliwemi chowała — jak umiała. Musiałem codzień odśpiewać pieśni nabożne, matce w pracy domowej pomagać, za to dostawałem miskę mleka słodkiego z chlebem, co było dla mnie największym przysmakiem.

Do Krosna przywiózł mię Michał Fejkiec w W. Poście 1829 r. do szkoły. Matka płakała, gdym odjeżdżał, ale trzy gomółki wtrąciła do kieszeni, dała nawet dwa »dutki« stare, a z jej sukmany zrobiono mi kapotę. Buty dał mi zrobić ojciec, i odtąd chodziłem po pańsku, jak to lud mówi.

W roku 1830 była choiera! Ojciec i matka umarli, rodzina wymarła, ja z bratem Michałem zostałem. Ojciec nosił mię na rękach i mówił z płaczem: nie bój się kpielu! Ty zostaniesz i będziesz panem! A umierając zawołał swego brata Karola i mówił: »Na sąd Boży cię wzywam, jeżeli mi chłopca do szkoły nie dasz«.

I stało się tak. Miał ojciec dobre strony, bo nie kradł, nie krzywdził nikogo, pracował ogromnie, dbał o dzieci, był pobożny i święta święcił, sam z dziećmi szedł do kościoła, karał nas za grzechy.

Ja i Michał brat mój, umieliśmy czytać i pisać od maleńkości, ojciec kupował i przynosił nam książki, lubił czytania słuchać, ale był zabobonny, wierzył w strachy, upiory, czary.

W Wigilię Bożego Narodzenia musiał się w domu każdy myć cwancygierem srebrnym i chodziliśmy do stajni podsłuchiwać, jak bydło miało rozmawiać, chodziliśmy do studni po wino z wody, zaglądaliśmy do stodoły, czy chleba nie przybyło, paliliśmy drzewo aby czarownicę zwabić, czekaliśmy, kiedy Pan Jezus jako dziadek przyjdzie. I gdyby był przyszedł jaki dziad filut, to byśmy byli uznali go za Pana Jezusa i klękali przed nim, każdy byłby prosił o co, a ja na pewno o »państwo«, jakie mi ojciec wróżył

W Wilję też robił ojciec próbę, czy się uda zboże i jakie? Oto kładł pół chleba żytniego i pół pszennego na stole z sianem a między te chleby kładł nóż; z której strony nóż lepiej pordzewiał, to znak lepszego plonu zboża.

Robiliśmy też próbę, czy będzie posucha czy deszcz w roku najbliższym; oto rozbieraliśmy cebulę na części na małe doniczki; takich doniczek 12 stawialiśmy na stole z sianem i do każdej doniczki cebulowej sypaliśmy sól, a każda taka doniczka miała nazwę miesiąca w porządku 12-tu miesięcy; w której doniczce sól stopniała więcej lub mniej do poranka Bożego Narodzenia, ta doniczka, a raczej miesiąc którego nazwę miała, miał być pogodny lub deszczowy.

Ciąg dalszy nastąpi.

O niektórych starodawnych kolędach polskich.

»Anioł pasterzom mówił:
Chrystus się nam narodził.«

Już od Wilji Bożego Narodzenia rozbrzmiewają kolędy w kościołach, po dworach, w domach miejskich i w chatach wieśniaczych.

Pod nazwą »kolędy« nie należy jednak rozumieć jedynie pieśni opiewających Boże Narodzenie, gdyż kolędy oznaczały w dawnej Polsce wszystkie pieśni śpiewane od Bożego Narodzenia aż do Matki Boskiej Gromnicznej.

W starodawnych »kantyczkach« znajdujemy kolędy z treścią zupełnie światową, przedstawiającą czasem jakiś wypadek historyczny z dziejów naszej Ojczyzny.

W roku 1672 znaną była i śpiewaną w Polsce następująca »Kolęda na Turków«:

»Już pod armatą ziemia przyklęka,
Już Ukraina pod Turcją stęka,
Już braniec spętany,
Już brzęczą kajdany, a ty śpisz?

Już Kamieńcowi, pożal się Boże,
Ściele Otoman z popiołu łoże —
Ty w łabędzim pierzu
Nie w twardym harcujesz puklerzu!

. . . .

Hej, na dobranoc wolnościom twoim,
Nachylił Turczyn księżycem swoim,
Ty hejnał wesoło
I w taneczne koło grać każesz?
Czarnieckich niemasz, Kordeckich mało,
I Chodkiewiczów już nam nie stało,
Młódź tylko została
I to zaniedbała — ochoty.

. . . .

Podolskie kraje z żalu się krają,
Kruszą się mury, wieże padają,
Ty zakamieniały —
Nad sykulskie skały, śpisz Lechu!

Najdawniejszy zbiór kolęd pochodzi z roku 1550. Do rozpowszechnienia kolęd przyczyniło się najwięcej duchowieństwo polskie, które chciało w ten sposób wyrugować pieśni, pochodzące jeszcze z czasów pogańskich, a śpiewane zarówno w domach szlacheckich, jak i w chatach kmiecych.

Autorami kolęd byli po części księża, po części też bakałarze szkolni. Do tych utworów dodawał lud od siebie swoje niewinne, ale z czystego natchnienia płynące piosenki — i tak utworzył się specjalny rodzaj pieśni swojskich, pół nabożnych, pół świeckich, zwanych: »Kolędami«.

Nie wszystkie kolędy starodawne doszły do naszych czasów, gdyż nikomu nie przyszło na myśl zachowanie ich w druku dla przyszłych pokoleń, dlatego to stare wydania »kantyczek« są niezmierną rzadkością.

Kolędy z treścią religijną doszły do nas w pierwotnej swej postaci z niewielkiemi zmianami, natomiast kolędy czysto ludowe z treścią światową uległy zmianom i w melodji i w słowach. To też mamy różne kolędy świeckie w różnych okolicach kraju.

W wielu kolędach lud nas ofiaruje Dzieciątku Bożemu najrozmaitsze dary, mnóstwo jedzenia i ubrań.

Kurpie np. śpiewają:

»U nas w Ostrołęckiem na puszczy sta-[rostwie,
Nie byłbyś się rodził w takowem ubóst-[wie,
Mamy tu izb wiele,
I ciepłe pościele,
Byłbyś leżał wygodnie.
Miałbyś buraczki, kapustę Panie,
Z tłustą wieprzowiną zawsze na śnia-[danie,
Mleko z jagiełkami,
Chlebek z okładkami!
A i miodu flaszeczkę!« — i t. d

Kurpie z miłości do Dzieciątka gotowi są nawet posunąć się do kradzieży.

»Choć nam uzdy i siekiery w lasach [zabierają,
Jednak byśwa byli,
Choć w nocy zwozili
Suche drewka dla Ciebie«.

Melodja kolęd jest rozmaita; niektóre kolędy, zwłaszcza śpiewane po kościołach mają melodję całkiem poważną, inne podobne są do mazurów, do poloneza, do tańców skocznych lub dumek.

Kolędy są dla nas Polaków oznaką wielkiej, świętej jutrzenki t.j. Narodzenia Chrystusowego i dlatego też są miłe dla każdego, kto ma w sercu choćby iskrę wiary.

Słońce domu rodzinnego.

Kto niem jest? — Dobra, pobożna i mądra matka. Ona to jest słońcem domu rodzinnego. Pokój i zgoda panuje w rodzinie, w której rządzi taka matka. Dzieci rosną i rozwijają się jak kwiaty w rosie niebieskiej. Zbawienną bojaźń

Pańską i szczere zamiłowanie dobrego wpaja pobożna, cnotliwa matka w ich serca wrażliwe.

Wielki cesarz Francuzów zwykł był mawiać: »Mojej matce i jej zasadom zawdzięczam moje powodzenie i wszystko co uczyniłem dobrego.«

Na swem wygnaniu, na wyspie św. Heleny, tak opowiadał Napoleon o swej matce: »Moja matka posiadała wielki charakter, siłę ducha, wiele podniosłości i dumy. Czuwała ona z niezrównaną troskliwością nad pierwszemi wrażeniami dzieci. Niskie uczucia usuwała i obrzydzała, a dawała przystęp do serc ich tylko temu, co było wielkie i szlachetne. Umiała karać i wynagradzać i śledziła wszystko bacznie u swych dzieci.«

Ksiądz Kolping, znany założyciel towarzystw katolickiej młodzieży w Niemczech, tak razu pewnego przemawiał do matek: »Wiecie, matki co mnie utrzymało wśród wielkiego zepsucia? — Miałem biedną matkę, ale matkę, u której nie widziałem i nie słyszałem niczego, czegobym nie był musiał szanować. A gdy pokusa zbliżyła się do mnie wtenczas pomyślałem o mojej matce, a kusiciel pierzchnął odemnie.

Gdy umarła, nabrałem większego jeszcze dla niej szacunku, bo przekonałem się, co mam do zawdzięczenia jej modlitwie. Tej modlitwie zawdzięczam, że nie zginąłem wśród niebezpieczeństw, i jej modlitwa dopomoże mi do szerzenia czci Boga, wedle słabych sił moich.«

Gdyby wszystkie matki tak żyły — i gdyby wszystkie dzieci tak o swoich matkach mówić mogły — byłoby inaczej i lepiej na świecie!

Przyszła królowa Belgji wzorową gosposią.

Belgijski następca tronu, jak donoszą paryskie gazety, miał szczęśliwą rękę w wyborze małżonki, albowiem szwedzka księżniczka Astrid, która jest jego żoną od kilku miesięcy, jest nie tylko piękną kobietą, lecz również doskonałą gospodynią »dyplomowaną«.

Jest to posag nielada w dzisiejszych czasach.

Mając lat szesnaście, księżniczka Astrid zapisała się na kursa w miejskiej szkole żeńskiej wychowania domowego, oraz do zakładu Barnavard. W pierwszej wyuczyła się całej umiejętności prowadzenia wzorowego gospodarstwa, w drugim, pielęgnowania i leczenia niemowląt.

Widziano ją regularnie o godzinie 6 rano na targu, gdzie osobiście dokonywała zakupów, targując się jak zwykła mieszczka, w towarzystwie oczywiście swej nauczycielki. Zajmowała się kuchnią, gotowała według przepisów jajka i rosół, obierała śmiejąc się kartofle, lub płakała obierając cebulę.

Po obiedzie zmywała talerze i garnki, jak wszystkie inne uczennice, po kolei. A tak pojętną i pilną się okazała, że dyplom swój otrzymała po dziesięciu miesiącach, zamiast po dwu latach, jak tego wymagają przepisy.

Japońskie zasady zachowania się w czasie Mszy św.

Angielski profesor Meyner pisze ciekawe rzeczy o zachowaniu się katolików japońskich w czasie Mszy sw.

»Japończycy w pełni zachowują swe zasady dobrego zachowania się w stosunku do swych obowiązków religijnych. A więc każdy wchodzący do świątyni obowiązkowo musi zdjąć obuwie. Tym, którzy noszą narodowe drewniane obuwie, nie nastręcza to specjalnych trudności. Kto jednak przywdziewa obuwie europejskie, ma pewien kłopot. Nie widziałem jednak nikogo, ktoby się uchylał od spełnienia tego nakazu.

Wierni siedzą lub klęczą na rogożach. Na prawo dziewczęta i kobiety, na lewo mężczyźni. Wierni modlą się głośno, przytem ktoś z nich przewodzi chórowi

modlitewnemu. Byłem świadkiem kazania, wygłoszonego przez misjonarza. Misjonarz zaczął swe kazanie od głębokiego ukłonu w kierunku słuchaczy, którzy podobnym ukłonem mu odpowiadali. Takim samym ukłonem zakończone zostało kazanie. Japonki wchodząc do świątyni, nakrywają twarz białym welonem».

Tańce indyjskie.

Słynny podróżnik Sven Hedin opisuje w książce »Gran Canon« tańce Indjan, którym miał sposobność przyjrzeć się w swych podróżach. »Żółta Noga«, wódz szczepu Hopi, pozwolił mu asystować przy tańcach i śpiewach klanu.

Tańce odbywały się przy świetle ognia, przy akompanjamencie bębna i grzechotek.

Tancerze o miedzianej skórze dobrze zbudowani, przybrani w charakterystyczne kostjumy o jaskrawych barwach, w klejnoty, naszyjniki i pióra, wyglądali niezwykle.

Taniec ich jest ciężki, dziki i porywczy. Czasami przysiadają, jak koty, skradają się, czają, zrywają się do skoku, potem — znów obracają się w kółko — wznosząc przeraźliwy wrzask.

Wszystko to razem wygląda dziko i fantastycznie.

Tańce Indjan są aktem religijnym, wzywaniem natury, a raczej nieokreślonego bóstwa w zamiarze przebłagania go.

Najpopularniejszy jest taniec wiosenny, poświęcony siłom natury, który polega na hołdzie oddawanym czterem stronom świata: żółtym chmurom z północy, zielonym chmurom z zachodu, czerwonym z południa i białym ze wschodu.

Inny taniec tak zwany taniec bawoli jest prośbą o łup myśliwski i obfitość śniegu podczas najbliższej zimy.

Tancerze przebrani za bawoły starają się odtworzyć skoki i ruchy tych zwierząt.

Bardzo zajmujący jest taniec wężów, w którym każdy z tancerzy trzyma w ustach żywego gada.

Podarek dla pana młodego w Chinach.

W Chinach osoba nawet szalenie zuchwała nie odważyłaby się wchodzić w związki małżeńskie we dnie inne, niż te, jakie gwiazdy wskażą jako pomyślne. Dopiero gdy wróżbiarze powiedzą, kiedy ślub się ma odbyć, rozsyła się zaproszenia do wszystkich przyjaciół.

Zaproszenia pisane są złotemi literami na czerwonych tekturkach i wkładane do kopert o tychsamych jaskrawych barwach.

Według naszych zwyczajów tylko sama panna młoda otrzymuje podarki ślubne, bardzo rzadko kiedy pan młody.

Inaczej jest w Chinach; tam zarówno o panu młodym pamiętają jak i o pannie młodej, a to w sposób bardzo ciekawy. Otrzymuje on prezenty od każdego poszczególnego gościa, i to wszystkie zupełnie jednakowe.

Podarek dla narzeczonego stanowi zwój z czerwonej satyny, o szerokości czterech stóp, a długości sześciu stóp. Na samym środku zwoju wypisane są złoconemi literami słowa: »Podwójnego szczęścia«. A jeżeli pan młody ma wiele znajomości i liczną rodzinę, to może czasem takich zwojów dostać i paręset. W miarę jak te zwoje nadchodzą, wiesza się je bezzwłocznie na ścianie. Meble są także przybrane w czerwoną satynę.

Gdy panna młoda idzie do ślubu, niosą przed nią czerwoną świecę. Scena pochodu weselnego jest bardzo żywa, bo i kolory wszystkie są bardzo żywe. Goście w jasnych świątecznych ubraniach dodają również uroczystego nastroju.

Panuje tam wesołość kolorów, jaka prawdopodobnie raziłaby oko człowieka z Zachodu.

Charakterystyczne wrażenie odnosi się jeszcze, gdy się słyszy muzykę chińską, wygrywającą w ten sposób, że aż uszy puchną.

Różne rady pożyteczne.

Jaki pożytek mamy ze soli? Sól służy do solenia — powie nam niewątpliwie każdy, albowiem niewielu wie, jak różnoraki można mieć z soli pożytek przy gospodarstwie domowem.

Jeżeli grozi gospodyni zgaśnięcie ognia kuchennego, to łatwo może temu zaradzić przez posypanie ognia garścią soli. Celem zapobieżenia przypalenia pieczywa, należy posypać trochę soli pod naczynie, w którem pieczemy. Unikniemy pryskania tłuszczu przy pieczeniu mięsa, jeśli posypiemy brytwannę solą. Łatwiej ubijemy białko na pianę, jeśli dodamy doń szczyptę soli.

Przy pomocy soli, rozpuszczonej w wodzie (120 gr. na litr wody), badamy świeżość jaj. Jajo świeże utonie w roztworze powyższym, jajo nieświeże będzie pływać. Sól wrzucona do wody, w której się pierze w zimie bieliznę, zapobiega zamarzaniu tejże bielizny w czasie schnięcia.

Solą doskonale czyścimy wanny, cebrzyki, guziki metalowe, krzesła trzcinowe etc. Mieszaniną soli i spirytusu lub też salmiaku możemy usunąć wszelkie tłuste plamy z materjałów ubraniowych i to nawet z najdelikatniejszych jedwabi.

Mydło w płynie do wywabiania tłustych plam. Dobre mydło zwyczajne skrobać i wrzucać do butelki, zalać salmiakiem, zmieszać potrząsając butelką i takową zakorkować. Po rozpuszczeniu mydła rozrzedzić jeszcze salmiakiem do gęstości syropu. Płynem tym smarować tłuste plamy i obmywać zaraz letnią wodą kilkakrotnie. Używać jednak tego płynu tylko na czarne lub ciemne, wełniane ubrania.

Szczury niszczy się za pomocą dość prostego i taniego środka. Miesza się smalec wieprzowy z wapnem niegaszonem i z ugniecionej masy robi się małe pigułki. Czynność tę jednak trzeba załatwić w rękawiczkach, nie gołemi rękami, bo gdy szczur poczuje odór ciała ludzkiego, pigułek nie ruszy.

Pigułki takie rozrzuca się w miejscach, gdzie szczury najwięcej grasują, w pobliżu ich kryjówki. Niedaleko stawia się miseczkę z wodą.

Skoro szczur zje pigułkę zaczyna go palić pragnienie, spieszy więc do wody i chciwie ją pije. Skutkiem wypicia wody następuje w żołądku szczura rozkład wapna, które spala żołądek i kiszki — i szczur ginie.

Obuwie nieprzemakalne niezbędne jest w zimie, aby nogi w suchości i cieple utrzymać, zaziębienie bowiem nóg bywa powodem i źródłem wielu chorób.

Aby tedy obuwie zrobić nieprzemakalnem, trzeba w naczyniu metalowem rozgotować kwaterkę oleju lnianego, pół funta łoju baraniego, 200 gr wosku białego i 130 gr. gutaperki (kauczuku, np. ze starego kalosza).

Gdy płyn trochę ostygnie, posmarować nim, ale jeszcze na gorąco, nowe buty, za pomocą szczotki, jak się robi z szuwaksem. Skóra pozostaje miękką jak była, ale staje się teraz nieprzemakalną. — Smarować trzeba wierzchy i podeszwy, a nadewszystko podeszwy. Tego sposobu używają we wielu krajach rybacy, stojący w wodzie całemi godzinami.

WESOŁY KĄCIK

AŻ DO GROBU.

Żona: — Czy doprawdy jesteś mi wierny?

Mąż: — Aż do grobu.

Żona: — Poco przypominasz mi o twoim grobie?

Mąż: — A co ty sądzisz, że ja to myślę o moim grobie?

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Ks. Marceli Dziurzyński — Wydawca: Marceli Bojomir.
Zakłady Graficzne „Nowości" w Krakowie.